

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju
przyjmują się za opłatą od wiersza
drobego (petit) po 8 centów,
za każde następne „ 5 „
i należytość stęplową 30 „
za każdorazowe umieszczenie.

AFISZ

TEATRALNY.

Wychodzi w Krakowie 4 razy w tygodniu w dniu przedstawienia teatralnego.

Cena prenumeraty miesięcznie 50 c.
Numer pojedynczy kosztuje 5 c.
Prenumeratę przyjmują: Administracja *Czasu*, przy ulicy Różannej Nr. 413 i Kasa Teatralna.

Kraków 29 listopada.

— Abonament rozpoczyna się z dniem 1 grudnia. Pierwsze przedstawienie abonamentowe we wtorek d. 2 grudnia.

Jutro **Zagroda Sobkowa** melodramat w 5 aktach ze śpiewami przez E. Błotnickiego podług Mosenthala z muzyką J. N. Nowakowskiego.

LORENZACCIO.

Ciąg dalszy.

LORENZO. Tak sądzisz?

SCORONCONCOLO. Mów co chcesz panie, ale ja zawsze wracam do tego, com powiedział poprzednio, że masz nieprzjaciela i ten cię tak trapi. Czyż nie słyszałem, jakże przeklinał z rozpaczą dzień swego urodzenia, a wśród tych słów niejasnych a pełnych wściekłości, słyszałem wyrazy pełne nienawiści i zemsty wyraźnie... Wierz mi panie, że taki stan dłużej trwać nie może — pobladłeś — schudłeś — trudno ci się zdobyć na słowo wesołe — niezaprawione gorzką ironią, a z tego tylko zemsta jedna wyleczyć cię może. Czyż raz się zdarza, że dwóch ludzi staną w kierunku jednym z promieniami słońca — spostrzegają, że cię jednego zawadza drugiemu. Lekarstwo twoje jest w mojej pochwie i pozwól, że cię wyleczę. (*wydobywa swój miecz.*)

LORENZO. Czy to lekarstwo uleczyło cię już kiedy?

SCORONCONCOLO. Cztery czy pięć razy. Gdym był w Padwie pewna młoda panienka powiedziała mi....

LORENZO. Pokaż mi twój miecz — wyborne ma ostrze.

SCORONCONCOLO. Spróbuj je na nim a zobaczysz.

LORENZO. Odgadłeś moje nieszczęście — rzeczywiście mam nieprzyjaciela, na którego jednak nieużyłbym tego miecza, co służył na innych. Ten, który go zabije, raz tylko może się zmasać tym krwawym chartem i na wieki zachować jego ślady.

SCORONCONCOLO. Jak się nazywa ten człowiek?

LORENZO. To cię nie obchodzi. Czy chcesz mi się poświęcić?

SCORONCONCOLO. Dla ciebie nie wahałbym się ukrzyżować samego nawet Chrystusa.

LORENZO. Wiedz więc, że cios dosięgnie go w tym właśnie pokoju i dlatego głównie, żeby nie zdziwił moich sąsiadów hałas, jaki ztąd może powstać, przyzwyczaiłem ich i oswoiłem z nim swoimi wyskokami. Słuchaj uważnie i nie pomyśl się czasem. Jeżeli uda mi się położyć go trupem za jednym uderzeniem, to niewolno ci dotykać go się wcale. Ale on silny jak dzik, a ja wobec niego słaby jak mucha, gdyby się więc bronił, postaraj się schwycić go za ręce, a resztę mnie pozostaw — czyś mnie zrozumiał — pamiętaj, że do mnie w zupełności należy. O czasie i miejscu uprzedzę cię później.

SCORONCONCOLO. Amen.

SCENA II.

W pałacu Strozich.
(*wchodzą Filip i Piotr.*)

PIOTR. Gdy pomyślę o tem, to mam ochotę odciąć sobie prawą rękę — cios taki do-

brze wymierzony na pozór, i żeby też chybił tego łotra. Któżby nie oddał mi tej usługi, gdybym tylko szepnął — to Salviatti na ulicy — ale nikczemnik przebiegły — jak pajak upadł, udał umarłego z obawy, aby go naprawdę nie zabito.

FILIP. Cóż ci to szkodzi, że żyje, zemsta twoja i tak powinna być zadowolona, bo mówię, że ranę, jakąś mu zadał zostawi ślad na całe życie.

PIOTR. Tak, wiem dobrze, ale ty ojcie z innego stanowiska zapatrujesz się na to wszystko, przyznaję, że jesteś dobrym patryotą, ale silniejsze nad to jest w tobie uczucie ojcowskiego przywiązania, dlatego trudno ci mnie zrozumieć, proszę więc zostaw mnie samemu tę sprawę.

FILIP. Cóż ci znów roi nowego. Czyż nie możesz przez pół godziny niemyśleć o nieszczęściu i być spokojnym.

PIOTR. Jak na szafana — pół godziny trudno mi być spokojnym w tem zatrutem powietrzu. Niebo tak cięży nademną jak sklepienie ponurego więzienia, a na ulicach spotkam same nikczemne obrazy pełne nierządu i pijaństwa. Bądź zdrow, idę za swoimi interesami.

FILIP. Gdzie idziesz?

PIOTR. Dlaczego mnie pytasz o to? Idę do Pazzi.

FILIP. Zaczekaj więc na mnie chwilkę i ja tam pójdę także.

PIOTR. Nie teraz mój ojcie! pójdiesz później trochę mój ojcie!

FILIP. Mów więc do mnie otwarcie.

PIOTR. To do nas tylko należy. Jest nas tam pięćdziesięciu: Rucellaiowie i inni, którzy nie chcemy nosić bękartów w naszych wnętrzościach.

FILIP. A więc.

PIOTR. Wiadomem ci ojcie jest, że nieraz mały kamyczek dostatecznym jest, by wielkie bałwany lodu łamały się od jego pocisku.

FILIP. Ależ wy nie macie dotąd nic obmyślanego, bez planu, bez poprzednich obliczeń, jak można przystępować do tak ważnego dzieła. O dzieci! dzieci! igracie z życiem i ze śmiercią! O kwestyach, którymi zajmuje się świat cały, o ideach, nad zbadaniem których tysiące głów się pobielilo, tysiące za samo podniesienie tej myśli poszło na szafot, pod rękę kata. Opatrzność sama zdaje się patrzeć z przerażeniem i bez współudziału swego, wy spoglądacie na nie, o tych kwestyach rozprawiacie zuchwale zapijając hiszpańskie wino, jak gdyby szło co najwięcej o kupienie konia lub uprojektowanie jakiej wesołej maskarady. Czy wiecie, co to jest rzeczpospolita? posłuchajcie i zbadajcie pierwej, co myśli robotnik zajęty przy swoim warsztacie, rolnik przy pługu a obywatel na placu, poznajcie wprzód wszystkie tajniki życia a później dopiero twórzcie idee ogólnego szczęścia. Dzieci! dzieci! jak możecie tak nierozważnie przystępować do rzeczy świętych.

PIOTR. Trafne uderzenie lancetem uleczy nas z tych nieszczęść.

FILIP. Uleczy! mówisz! czy nie wiesz że najłżejsze uderzenie lancetu, żeby było zbawienne, powinno być zadane ręką umiejętnego lekarza. Czy nie wiesz, że na wydobywanie kilku kropli krwi z człowieka potrzeba nauki długiej jak życie, a rozległej jak świat cały. Czyż nie byłem także obrażony ostatniej no-

cy, gdyś z bronią pod płaszczem szedł mścić naszej krzywdy, czyż nie jestem również ojcem Ludwika, jak ty jej bratem. Czyż nasza zemsta nie była sprawiedliwą? A jednak, gdybyś wiedział, jak wiele kosztowało mnie to wszystko. Nie — tylko ojcowie mogą zrozumieć takie cierpienia, dzieci nie pojmą ich nigdy. Gdy zostaniesz kiedy ojcem, to wtedy pomówimy o tem.

PIOTR. Ojcie, ty umiesz kochać więc i nie nawiądz mi powinieneś.

FILIP. Czegóż więc chcą ci Pazzi? Zapraszają przyjaciół, by przyszli do nich spiskować, tak jak się zaprasza na grę w kości lub zabawę. Przyjaciele ich wchodząc na podwórze poślizgują się na śladach krwi ich pra-ojców lecz powiedzcie na koniec, czego chcecie.

PIOTR. Dlaczego okłamujesz samego siebie. To czego my pragniemy, tyś nam mało sto razy powtarzał. Stało się się to jednym z celów twojego życia, czy myślisz, że nie wiemy, o czem marzysz, dlaczego nie odpoczywasz i nie używasz tak życia jak drudzy. Ci co tak, jak ty przepędzają noce całe niezamknawszy oka, nie mogą umrzeć spokojnie.

FILIP. Jednakże powiedz, do czego zmierzają to wszystko?

PIOTR. Medycusze są prawdziwą zarazą. Gdy kto jest ukąszonym przez żmiję zjadliwą, napróżno wzywałby lekarza — jeden jest tylko ratunek, trzeba wypalić tę ranę.

FILIP. A gdy zburzycie to, co dziś istnieje, coż postawicie na tem miejscu?

PIOTR. Jesteśmy pewni, że nic gorszego wytworzyć się nie może.

FILIP. Jednakże radzę wam, żebyście do brze się obliczyli.

PIOTR. Głowy hydry łatwe są do policzenia.

FILIP. Więc koniecznie chcesz działać? Czy to już stanowczo?

PIOTR. Chcemy poprzecinać żyły mordercom Florencji.

FILIP. Czyż wasze postanowienie jest już niezmiennem?

PIOTR. Tak mój ojcie — żegnam cię, pozwól mi odejść samemu.

FILIP. Odkądżeto stary orzeł zostaje spokojnie w gnieździe, gdy młode jego próbują pierwszych sił do lotu. O moje dzieci, moja ty bohaterko, piękna młodzieży, ty co masz jeszcze te siły, jakie ja już utraciłem — siły młodości Filipie. Pozwól że będę czuwał nad Tobą. Zabierz mnie z sobą, dziecię moje! ja widzę, że idziesz działać, nie będę ci robił próżnych uwag, nie, chcę cię odwozić od twych zamiarów, ale w tej osiwiątej głowie znajdą się myśli, latami życia i doświadczeniem nabyte, które wam przydać się mogą. Mam jeszcze umysł dosyć przytomny i rzeźwy, ciężarem wam nie będę, nie jedź więc sam i czekaj, wezmę płaszcz tylko na siebie.

PIOTR. A więc pójdź do nas szlachetny mój ojcie! ucałujemy kraj twojej szaty, będziesz naszym opiekunem, naszym patryarchą w tej wielkiej rodzinie. Pójdź z nami, aby ujrzyć świetnie wschodzące słońce dla naszej przyszłości, ujrzysz jak urzeczywistniają się marzenia twojego życia. Wolność jest już dojrzałą, słusznie więc, by stary ogrodnik Florencji ujrzał jak wschodzi roślina, którą tak bardzo kochał i pielęgnował. (*wychodzą.*)

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nr. porządkowy 34.

TEATR KRAKOWSKI.

W Sobotę dnia 29^{go} Listopada 1873 r.

Komedia w 5 aktach Williama Shakespeara:

KUPIEC WENECKI

OSOBY:

Doża Wenecyi	— — —	Pan Błoński.	Stary Gobbo, ojciec Lancelota	Pan Ładnowski.	
Książę Marocco	} zalotnicy Portii	Pan Siedlecki.	Salerio, posłaniec z Wenecyi	Pan Glikson.	
Książę Arragonii		Pan Rawicz.	Leonardo, w służbie Bassania	Pan Zapalowicz.	
Antonio, kupiec wenecki	—	Pan Szymański.	Balthazar	} paziowie w służbie Portii	Panna Ekel.
Bassanio, jego przyjaciel	—	Pan Benda.	Stephano		Panna Rachowiec.
Graziano	} przyjaciele	Pan Siennicki.	Portia, bogata dziedziczka	—	Pani Siennicka.
Salanio		Pan Nowakowski.	Nerissa, jej powiernica	— —	Panna Wojnowska.
Salarino	} Antonia i Bassania	Pan Żródełski.	Jessyka, córka Shyloka	— —	Pani Bauman.
Lorenzo, kochanek Jessyki	—	Pan Roger.	Ceklarz	— — — —	Pan Lajnerowicz.
Shylok, żyd	— — —	Pan Rychter.	1. }	} Senatorowie	Pan Raczyński.
Tubal, żyd, jego przyjaciel	—	Pan Bogucki.	2. }		Pan Klepacki.
Lancelot Gobbo, trefniś w służbie Shyloka	— — —	Pan Eker.	3. }		Pan Piotrowski

Urzednicy sądowi — Muzykanci — Dworzanie — Służba.

Rzecz dzieje się na przemian w Wenecyi i w Belmont zamku wiejskim Portii.

CENY MIEJSC: Łoża parterowa i pierwszego piętra **6** zlr. — Łoża drugiego piętra **4** zlr. — Fotel w sześciu pierwszych rzędach **1** zlr. **50** cent. w następnych rzędach **1** zlr. — Krzesło w Łoży parterowej lub 1 piętra **2** zlr. — Krzesło numerowane na Balkonie w pierwszych w dwóch rzędach **1** zlr. w następnych **80** cent., w dalszych **70** cent. — Bilet na Parter **60** cent. — Bilet na Galeryą **30** cent.

Początek o godzinie siódmej.